



# Nowo OTWARTY MAGAZYN OBUWIA ZDZISŁAW ZDANOWICZ

KRAKÓW, UL. SZCZEPAŃSKA L. 7 — TELEFON 516

poleca najlepszej jakości i trwałości

**obuwie dziecięce, damskie i męskie.**

MICHAŁ MORPHY.

## TAJEMNICA POGROMCZYNI.

Powieść z francuskiego.

I młoda pani mogła się pochlubić, że dobrze była strzeżoną. Różia była takiej budowy, że mogła z honorem stawiać czoło całej rodzinie Vernierów. Aniela uważała ją raczej za przyjaciółkę, jak za służącą. Rybaczka była sierotą. W trudnościach swego pracowitego żywota nabyła zadziwiającej siły charakteru. Była to perła dzielnicy rybaczkiej. Cała młodzież ubiegała się o nią.

Ale równie cnotliwa jak śmiała, potrafiła ona nieraz policzkami, tego wymierzonymi, mitygować zakusy swoich wielbicieli. Co zaś do tych, którzy poszukiwali jej względów w dobrych, jak się to mówi, zamiarach, to wyzbywała się ich dotąd bez wyróżnienia. Nieraz pytano się, jaki szczęśliwy śmiertelnik przypaść może do gustu tej tęgiej dziewczusze o szyderczym oku i nóżce małej.

Bo istotnie była zachwycająco piękną. Miała cudną buzię, strojną w miłutkie dołeczki, a kilka figlarnych loczków jej sutych czarnych włosów, igrało kokieteryjnie na jej zaokrąglonym czole. W pasie wąska, a w plecach silnie rozwinięta, miała urok niepospolity. Jej łono okrągłe, starannie opięte gósem zmieściło serca młodych majtków, gdy ją widzieli przechodzącą i majestatyczną w swej cudnej urodzie. Prawdziwy skarb do kochania. Ale też i cnota dzika i nieugięta!

Co jej dodawało niepowседневnego wdzięku, to ta obcisłość jej toalety, suknia tak ściśle dopasowana, że zdawało się, iż materiał nie wytrzyma tych przepysznych kształtów. A ponad wszystko ten zapach czystości i zdrowia, właściwy dziewczętom z owych okolic. To też nie dziwnego, że Leon Carboniera ją poważnie myślał o tej rybaczce, tak silnie zbudowanej i tak świeżej.

To nie w Paryżu, a zwłaszcza nie w braseryach lewego brzegu, mógł spotkać tak wspaniałą postać, strojną w białość cnoty bezwzględnej.

Jadąc do Boulogne na skutek listu Monte-Leona, ani się spodziewał tak niezwykle gratki. Dla przyzwyczajenia pozwolił upłynąć dwom czy trzem dniom, zanim złożył wizytę Anieli. Nazajutrz po skazaniu przyjaciela zjawił się u niej.

— Kto tam? — zawołał głos jasny i dźwięczny.

— Najzapalniejszy z twoich wielbicieli, piękna nimfo — rzekł Carboniera, poznając Rózię po głosie.

— Nazwisko pańskie? — odparła.

— Moje nazwisko, pytasz, ależ sama nosić je będziesz dnia pewnego.

— Proszę jednak.

— Leon Carboniera. Czy ci się podoba?

Drzwi się otwały.

Młody człowiek wszedł i rzekł tajemniczo:

— Słóweczko w sekrecie.

Różia pochylała głowę. Ale Carboniera ucałował ją w oba buziaki. Rybaczka chciała go skarcić małym policzkiem, tak małym, że Carboniera wziął jej rączkę i do ust ją przycisnął.

— Na seryo — rzekł — kocham cię. Ot co jest.

Ach, to pana tak wzięło odrazu?

— Raczej chwyciło i nie puszcza. Musimy się pobrać, niema rady.

— Ba!

— Tak, córeczko, zostaw majtków, niech pluszczą się w tej zupie, która się zowie oceanem, ja bo popłynę z tobą.

— Po stałym lądzie.

Po twoich pulchnościach.

— Ejże; a widzisz pan to? — pogroziła mu piąstką.

W gruncie rzeczy schlebiało jej nieukrywane wyróżnienie ze strony wesołego Paryżanina. Musiała przyznać, że był to chłopiec ładny i na wygląd solidny, jak rzadko. Równego mu nie znalazłaby w Boulogne. Ale Carboniera przestał żartować.

— Czy można widzieć panią właścicielkę? — zapytał.

— Sądzę, że tak. Proszę, niech pan wejdzie, ale niech pan będzie grzeczny.

— No to przyrzeknij mi, że wyjdiesz za mnie.

— Zgoda! — odparła, śmiejąc się.

Prawdę mówiąc, piękna Różia nie sądziła, ażeby to oświadczenie miało ją obowiązywać, a i Carboniera nie zadał jej tego pytania w intencji stanowczej.

Aniela wyszła na spotkanie gościa. Ten spostrzegł po jej zasmuconej twarzy, że już się dowiedziała o skazaniu jego przyjaciela.

— Cóż zrobić! — rzekł, podając jej rękę. — Miesiąc przeleci, jak strzała.

Ona bynajmniej nie zaprzeczyła jego myśli.

— Ten pan Sigrist to podły człowiek — rzekła.

— Ale też i on ma się dobrze za swoje, — odparł Carboniera.

— Jakto?

— A no, dostał jedną z najpiękniejszych porcy razów, jakie się kiedykolwiek zwały na... plecy takiego łotra.

I jako namacalny dowód ukazał kawałki swojej trzciny. Młodzi ludzie długo rozmawiali ze sobą. Carboniera przyrzekł Anieli, że zajmie się jej interesami.

— Dziś jeszcze będę wiedział, kto jest pani notariuszem.

I potem pożegnał się z właścicielką, a raczej dziewczką, jak ją tytułować lubiał.

Pożartowawszy oczywiście trochę z Rózią, ognisty chłopak opuścił dom Anieli.

Dni upływały, nie sprowadzając nowych zdarzeń. Aniela myślała o Monte-Leonie. Carboniera zajmował się sprawami młodej dziewczyny i od czasu do czasu przychodził zalecać się do Rózi. Było niepodobieństwem, pomimo że wszystko robił, co mógł, skomunikować się z przyjacielem.

— Czy pan jesteś jego krewnym? — pytano go w kanceliariach więziennej.

— Naturalnie, jestem jego bratem.

— No to zrób pan podanie z dołączeniem dowodów swego pokrewieństwa.

— Dowodów! — zawołał Carboniera, zgorzchnięty — czyżli wszyscy ludzie nie są braćmi nawzajem?

Ale daremnie powoływał się na braterstwo ludzkie, rozmównicy więziennej nie utworzono dla niego.

### ROZDZIAŁ VI.

#### Wyjście z więzienia.

Nareszcie nadszedł dzień wolności. Serce Anieli biło silnie. Miała zobaczyć Monte-Leona. Od szóstej zrana Carboniera przechadzał się przed gmachem więziennym.

Nareszcie około ósmej spostrzegł przyjaciela i pobiegł rzucić mu się w objęcia. Monte-Leon całował go z wybuchem:

— I cóż pocniemy teraz?

— Jakież masz zamiary? — zapytał Carboniera.

— No, trzeba szukać na gwałt zajęcia.

— Tu?

— Ach, zapewne, tak, tutaj.

— A Paryż?

— Paryż jest za daleko i nie mamy pieniędzy.

— A gdybym ci powiedział, że mam na podróż dla nas obu?

— Nie, daję ci słowo, że lepiej będzie tu pozostać.

— Co za dziwactwo!

— Wiesz dobrze, co mnie zatrzymuje.

— Aniela?

Monte-Leon przytwardził boleśnie skiniem głowy.

Carboniera pytał dalej:

— Kochasz ją?

— Tak! Po tysiąc razy tak!

— A ona!

— Nie. Czy ja wiem?

— Wcale nie przypuszczam. Ten urzędnik Sigrist, któremu kości połamię, ma ją poślubić.

— Tam do dyabła! Więc co począć?

— Ach, daj spokój! Zdaje mi się, że oszaleję.

— Słuchaj, pójdz ze mną, pokażę ci, com zrobił przez ten czas, co ty wzdychał na wilgotnym sieniaku.

— Cóżś zrobił?

— A no zobaczysz. Ruszajmyż w drogę do wyższego miasta.

Po kilku minutach drogi zatrzymał się przed okazałą kamienicą.

— Ależ to dom pana Vernier! — zawołał Monte-Leon.

— Jesteś w błędzie, kochanku.

— Zapewniam cię, że tak.

— A ja ci mówię, że nie.

— Żartujesz?

— To tobie się roi.

Carboniera podniósł młotek u drzwi i opuszczył go. Różia zeszła otworzyć. Obrzuciła wzrokiem przyjacielskim Monte-Leona.

— Czy można panią widzieć? — zapytał Carboniera.

Pani czeka na panów.

Weszli.

— No, przecież jesteśmy u Vernierów? — rzekł Monte-Leon, zdumiony.

— Tak jest, odbyłem tu przeprowadzkę w całej pełni. Jestem więc nadwornym przeprowadzaczem tego domu.

— Ładna karyera.

Cudowna, sam się przekonasz.

Drzwi do jednego z salonów otwały się i Monte-Leon znalazł się oko w oko z siostrzenicą swego ex-zwierzchnika. Obejrzał się za siebie, ażeby zapytać spojrzeniem Carbonierę.

Ten jednak uderzył się w czoło, jak gdyby sobie coś przypomniał.

— Ach! — rzekł nagle — zapomniałem ci powiedzieć, że pani zerwała swoje małżeństwo z panem Sigristem i że jej rodzinę wyrzuciłem za drzwi. Skorzystaj z tego.

Zawrócił się na pięcie i poszedł do swojej Rózi, z którą ostatecznie nie mógł się rozłączyć.

Monte-Leon, zostawszy sam na sam z Aniela, wybąkał słów kilka.

— Nie wiem, co mam o tem sądzić — rzekł — od samego rana niespodzianka spotyka mnie za niespodzianką.

— Więc pański przyjaciel o niczem panu nie mówił? — spytała Aniela, wzruszona do głębi.

— Ani słowa.

Młoda dziewczyna zaczynała właśnie rok dwudziesty drugi. Jest się już kobietą w tym wieku. Umiała lepiej panować nad sobą, niż Monte-Leon. Ten, w dwudziestym czwartym roku, był jeszcze młodzieniaszkiem. Była to jedna z tych natur nieco spóźnionych, blondyn, nie starzejący się nigdy. To też był skrepowany okrutnie. Raz, że się znajdował wobec kobiety, którą kochał, nie będąc przygotowanym do tego spotkania; ona widziała go biednym aż do nędzy; wychodził z więzienia.

Wszystkie te myśli krążyły mu po głowie. I obawa najbardziej dotkliwa ścisła mu serce. A nuż jest tylko przedmiotem litości! Och, litość, to najwyższe upokorzenie! Wahał się. Co mówić? Mówić o swoich zamiarach? Ależ ona go weźmie za drugiego Sigrista, rozkochanego w jej majątku.